Do numeru dołączamy, jako dodatek artystyczny, reprodukcję rzeźby T. Rygiera p. t. „Julietta".

NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG

ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA № 5
TEL. № 226-83.

№ 14

WARSZAWA
DNIA 24 MARCA 1912 R.



Bronisław Wiśniewski. (Sal. art. Richlinga) Przy okienku.

Krajobraz polski.

„Pejzaż jest wyrazem wzruszenia artysty wobec natury“ — tak określa dział malarstwa krajobrazowego znakomity esteta francuski Veron. Zdanie to jest najzupełniej słuszne i trafia w sedno rzeczy. Rzeczywiście — prawdziwy pejzażysta powinien być lirykiem natury przedewszystkiem.

Okoliczność ta w rozwoju krajobrazu polskiego jest niezmiernie ważną i bardzo dla nas doniosłą, — jedyną bowiem nutą — najdroższą dla nas w sztuce polskiej, bo wyróżniającą szkołę polską od innych, jest szczery sentyment, często z odcieniem melancholji.

Ten sentyment zachowywać, potęgować go, a jednocześnie być szczerym w sztuce, oto jest właściwa droga dla polskich artystów, jeżeli mamy naprawdę mówić o rozkwicie naszej sztuki, o odrębności szkoły polskiej, — bo tylko na wyżej wskazanej drodze osiągniemy najlepsze rezultaty.

Niechże częściej o tem pamiętają nasi artyści, szczególniej młodsi i nie gonią za chwilowymi prądami lub nawet dziwactwami, jakie nieraz zbyt skwapliwie importują nam z Paryża. Zupełnie nie mamy potrzeby gonić za prądami kosmopolitycznymi, wśród nas posiadamy żywy przykład w mistrzu, pracującym z nami i wskazującym talentom słabszym—kędy prowadzi droga do rozwoju rodzimej sztuki — rozwoju stylu odrębnego.

Mistrzem tym w krajobrazie jest Józef Chełmoński. Dzieła jego głęboko odczute, owiane nimbem szczerej poezji i wielkiej miłości do krajobrazu swojskiego, wzruszają widza i dają pełnię estetycznego wrażenia. Potwierdzają one jeszcze jedną prawdę — że w warunkach wskazanych wyżej, nawet niziny mazowieckie, zdawałoby się nużące swoją monotonją, dają niewyczerpane źródło motywów wysoce malarskich. Jest to odpowiedź tym, co niesłusznie narzekają na ubóstwo motywów malarskich naszej przyrody i czują potrzebę szukać ich gdzieindziej.

„Pour être grand, il faut être de son pays“ — powiedział słusznie niegdyś Napoleon, a do pejzażystów polskich stosuje się to w podwójnej mierze... Wystawa obecna „Krajobraz polski“ urządzona w sali ratuszowej staraniem Tow. Krajoznawczego, pokazuje nam wyraźnie, jak rozmaitym, jak bogatym w motywy jest pejzaż nasz swojski.

Mamy góry, płaszczyzny, niziny, rzeki, jeziora, lasy, a nawet morze, przy którem mieszkają dzielni rybacy i marynarze — Kaszubi, potomkowie naszych dawnych Pomorzan. Wszak podboje Bolesława Krzywoustego sięgały wyspy Rugji i nasi Pomorzanie zastosowali pierwsi sposoby przewożenia koni na łodziach.

Puck i Gdańsk były portami marynarki polskiej, która miała ciekawe i świetne swoje momenty, choć na nieszczęście krótko trwające...

A teraz, choć w kilku słowach, pomówimy o rozwoju historycznym krajobrazu polskiego.

Pierwszy impuls do zwrotu i szukania rodzimych tematów dał cudzoziemiec Jan Norblin (ur. 1735 zm. 1830 r.), artysta francuski, lecz blizki nam bardzo, bo przeszło trzydzieści lat pracował w Polsce. Utworami swymi, drobnymi przeważnie i lotnymi prawie, stworzył nową szkołę rysowników i malarzy polaków, którzy byli pierwszymi polskimi pejzażystami i według jego nauki pierwsze u nas o narodowym charakterze rozpoczęli malarstwo. On wprowadził pierwszy cały ten prąd w sztuce, zupełnie u nas wtedy nowy, oparty na szczerem studjowaniu i odtwarzaniu krajobrazu, wsi, żołnierza i ludu polskiego, — a w mieście — życia powszedniego na ulicy, przechodniów, przekupniów, żebraków nawet i pauprów warszawskich. Od tego był jeden tylko krok do plain'airu kompletnego...

Do szkoły Norblina—pejzażysty, choć w jego pracowni się nie uczył, możemy śmiało zaliczyć i Zygmunta Vogla.

Zygmunt Vogel (ur. 1764 um. 1820 r.) — ptaszek, jak dopisywał się, zaznaczając swoją polskość, urodził się w Wołczynie, majątku księcia Michała Czartoryskiego, który się przyszłym artystą najpierw zaopiekował.

W r. 1787 król Stanisław August zwrócił uwagę na nadzwyczajną pilność i zamiłowanie swojego zawodu u młodego artysty i wysłał go w podróż artystyczną do Krakowa i okolic, w celu zbierania tam rysunków z pięknych widoków i ruin.

Zygmunt Vogel wrócił z bogatą, rysunkami z natury wypełnioną teką z okolic Krakowa i ruin zamków, jak: Łobzowa, Tęczyna, Ojcowa, Lipowa, Pieskowej Skały, Rabsztyna, Olkusza, Krzeszowic, wreszcie Częstochowy. Gdy plon tej podróży przypadł wielce do smaku królowi, Vogel, jako już nadworny polski pejzażysta, w służbie króla Stanisława, został wysłany nad brzegi Wisły od źródeł aż do ujścia.

Umarł Zygmunt Vogel w Warszawie, w roku 1826.

Jednym z późniejszych profesorów malarstwa przy nowej warszawskiej szkole sztuk pięknych, był w latach 1845 — 1860 bardzo ceniony pejzażysta, uczeń Calame'a, gieneweczyka, Chrystjan Breslauer (ur. 1800 zm. 1860). Jako profesor, w Warszawie miał główną zasługę w wykształceniu uczniów w wiernem sumiennem krajobrazowem malarstwie, z jego szkoły wyszedł młody Gerson (ur. 1831 zm. 1903 r.) — malarz krajobrazów głęboki, szczery, pełen prawdziwego zrozumienia polskich gór, wód i pól, a który długo stał na czele warszawskiej szkoły pejzażystów drugiej połowy przeszłego wieku.

Najbliższym towarzyszem Gersona w dziale krajobrazowym, był starszy wiekiem od niego Alfred Schouppé (ur. 1812 zm. 1890).

Schouppé wzorem Calame'a i jego szkoły— Głowackiego, Breslauera i Wojciecha Gersona, malował z największem upodobaniem krajobrazy górskie i w tym celu prawie każdego lata w Tatry wyjeżdżał.

W malarstwie naszem Alfred Schouppé stanowi łącznik między dawnym pejzażem Głowac-

kiego i Breslauera, a nowszym Gersona, Kostrzewskiego i Szermentowskiego.

Franciszek Kostrzewski (ur. 1826 zm. 1911) w pierwszych latach swojej młodzieńczej twórczości, wykazał talent prawdziwy zdolnego pejzażysty o wyjątkowem poczuciu rodzimej przyrody. Niestety, poklask bawiącej się byle czem warszawskiej ulicy, pchnął działalność Fr. Kostrzewskiego na pole humorystyki, często zdawkowej i płytkiej, na czem stracił pejzaż polski.

Pierwszym pejzażystą o wyjątkowem w drugiej połowie przeszłego stulecia znaczeniu, o nowym pokroju, bo francuskiemu pejzażowi najbliższy, był u nas Józef Szermentowski (ur. 1833 zm. 1876). Niestety, dla sztuki narodowej pracował on bardzo niedługo — tworzył przeważnie zagranicą.

Pejzażystą głęboko poetycznym, rzewnym i na wskroś piękności krajobrazu ojczystego odczuwającym, był Maksymiljan Gierymski (ur. w Warszawie w r. 1846 zm. 1874). Sztuka polska poniosła jeden z ciosów najdotkliwszych po śmierci tak przedwczesnej tego artysty. Przy nim blizko stoi jego brat, Aleksander Gierymski.

Oto są najwybitniejsze talenta między polską gieneracją pejzażystów po 1860 roku tworzących.

Pozostaje nam tylko wspomnieć jeszcze o całej plejadzie artystów żyjących, którzy tak świetnie przyczyniają się do rozkwitu pejzażu polskiego.

A więc, najpierw Józef Chełmoński, największy dziś malarz polskiego krajobrazu (ur. w Boczkach pod Warszawą w r. 1850) — na wsi tworzący, owiane głęboką poezją i prawdą pejzaże z mazowieckich równin i bagien leśnych.

W jego duchu pracujący Stanisław Straszkiewicz.—Dzielny pejzażysta — o wyjątkowej sile akwarelista Juljan Fałat. Obok niego Leon Wyczółkowski, plenerzysta wielkiej mocy, dalej Józef Pankiewicz i ś. p. Podkowiński — pierwsi warszawscy impressjoniści przed laty piętnastu—dwudziestu.

Dalej Stanisław Witkiewicz, Roman Kochanowski, Zygmunt Sidorowicz, Ludomir Benedyktowicz—artyści krakowscy przeważnie.

Stanisław Masłowski (ur. we Włodawie w r. 1853), który swe krajobrazy głównie w Warszawie tworzy.

Również pracują w Warszawie — Włodzimierz Nałęcz, Józef Rapacki, Józef Popowski, Apolonjusz Kędzierski, Zofja Stankiewiczówna, Kazimierz Stabrowski, Tadeusz Cieślewski, Noskowski, Ziomek i inni. Litewską przyrodę świetnie odtwarzają Henryk Weyssenhoff i Ferdynand Ruszczyc. Na Ukrainie pracuje Eugienjusz Wrzeszcz. W Michale Wywiórskim mamy piewcę Wielkopolski.

Nie możemy na zakończenie nie wspomnieć o zmarłym w sile wieku Janie Stanisławskim (ur. 1860 zm. 1907), rodem z Ukrainy, profesorze Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, który wychował całą grupę uczniów — artystów doby młodszej.

On to głównie wyzwolił malarstwo polskie od wpływów niemieckich, które dotąd, jak widzieliśmy w niem dominowało. Szkoda tylko, że sam zanadto uległ wpływom sztuki francuskiej, a które to wpływy charakteryzują ewolucję z czasów ostatnich w sztuce polskiej.

Niemniej przeto śmiało też możemy stwierdzić, iż obecnie stoimy na progu nowego okresu, zapowiadającego rozkwit działu pejzażowego w naszej sztuce, a to choćby z tego powodu, iż trzy czwarte artystów najmłodszych uprawia malarstwo krajobrazowe. Scharakteryzowanie jednak tego ruchu z punktu historycznego, należy do okresu przyszłego.

Włodzimierz Nałęcz.

AFORYZM.

Miłość ludzkości, to zdrój, który oczyszcza i pogłębia miłość ojczyzny.

Eliza Orzeszkowa.

A GDY DO WAS POWRÓCĘ...

Czekam was przyjaciele, coście tam ostali,
Czekam was pola, łąki, czekam złoty łanie...
Słyszę, jak po łzach rosy płynie od was z dali:
„Osierociłeś wczora i odszedłeś panie...“

Powrócę, bo to serce pęknie mi z tęsknoty —
Zerwę łańcuchy, które dzierżą mnie w swej [matni!..
...Poszum lubych drzew słyszę: „Widzisz, hen [szlak złoty — —
Powróć... tyś nam był pierwszy i tyś był ostatni...“

O, sprzymierzeńcy drodzy, tęsknicie za panem...
O, przyjaciele moi, proszę was w me progi,
Zanim do was powrócę o jutrzni nad ranem,
Bo jeszcze w noc dalekie muszę przebyć drogi.

Kornie mi się kłonicie: „Jako nam do ciebie,
Wszakeśmy tu wrośnięci w łono Ziemi-Matki...
Kto zaszumi tu ludziom naszym na pogrzebie,
Kto ukłosi ich ścieże, kto umai w kwiatki?“

Nie wrócić wam już więcej, już nie wrócić ku [mnie,
Nie osieracać serc tych rozmodlonych z wami—
Uśmiechajcie się życiu i płaczcie na trumnie...
Ja — kolebkę i trumnę poświęcę wam łzami...

A gdy do was powrócę—skłońcie mi się zboża,
A gdy do was powrócę—zaszumcie mi drzewa...
I niech próg mego domu ranna złoci zorza
A ptaszę pieśń wesołą w błękitach zaśpiewa.

Walenty Zieliński.



Antoni Dzierzbicki. (Salon art. Richlinga) Chłopiec wśród kwiatów.

WACŁAW GĄSIOROWSKI.

10)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

Benoit atoli nie zadowolnił się tym objawem posłuszeństwa i podsunął ku miejscu, kędy pokład z desek dotykał ściany śniegowej a kędy widniała ciemna, skulona postać ludzka.

— Kapitanie! — warknął Benoit, nachylając się nad postacią. — Kapitanie!— powtórzył gniewniej, a nie odebrawszy odpowiedzi — zaśmiał się cicho i, dobywszy noża, jął przecinać sznurki, opasujące leżącą postać.

Trzy cienie, siedzące na pokładzie z desek a z nimi hrabia, zaparty pod otworem nory, poglądały obojętnie, ku operującemu w kącie Benoit'owi. Dopiero, gdy Benoit z pod porozcinanych sznurków, dobył szmat grubej puszystej płachty — trzy cienie razem z hrabią rzuciły się ku zdobyczy i porwałyby ją niechybnie na strzępy, żeby nie nóż, który im drogę zagrodził.

— Ani kroku! — Precz! — Moja kołdra!

— Dawaj! — syczał przez zęby hrabia.

— Weź — sprobuj! — ryknął Benoit.

— Sprawiedliwość być powinna! — zaskrzeczał najniższy z trzech cieniów.

— I jest! — mruknął hardo Benoit. — Mnie się należy, bo żeby nie ja, tobyście dawno zmarnieli! Lecz znajcie moją dobroć! Reszta wasze!

Tu Benoit odepchnął najsmuklejszy z cieniów i razem z płachtą dobył się z nory. Dwa cienie z hrabią na czele przypadły teraz do pozostawionej im zdobyczy. Wynikła walka krótka. Pięść hrabiego przeważyła. Dwa cienie poturbowane, zmożone ustąpiły.

Hrabia zabrał się do ściągania z trupa wełnianego kaftana, nie bacząc, że trzeci z cieniów, ten najsmuklejszy, stał tuż i poglądał wielkiemi rozszerzonemi źrenicami ku nogom obdzieranego, nogom okręconym płatami ciepłego komiśnego, żołnierskiego sukna.

Wtem ów cień smukły zachwiał się, jakby pod ciężarem nieprzepartej siły, rzucił ku nogom trupa i zacisnął wązkie, drobne palce na postronkach, przewiązujących sukienne płaty.

Hrabia zawył z wściekłości, porwał nowego przeciwnika za pierś, targnął nim i powalił.

Smukły cień legł pod ścianą bezwładny, sponiewierany. Hrabiemu nie dość kary na śmiałka. Chwycił za kawał bryły lodowej i zamierzył się. Lecz gdy miał nim raz srogi zadać, sine usta powalonej postaci jęknęły cicho:

— Luiggi!

Hrabia, na dźwięk tego głosu, zatoczył się, bryła lodowa wypadła mu z ręki. Przywarł do ściany nory i dyszał ciężko. Aż wzrok jego skrzyżował się z przygasłem, smutnem spojrzeniem powalonej postaci. Hrabia zatrząsł się. Kolana ugięły się pod nim.

— Blanko!—szeptał błagalnie, czołgając się ku leżącej postaci. — Blanko, przebacz, daruj!

Na szarej, drobnej twarzy Blanki zaigrał uśmiech przelotny.

— I nic—lepiej gdybyś mnie był zabił!

— Nie mów tak! Sam nie wiem, — w głowie mi się zakotłowało! Ciebie tknąć Boże, Boże! Ciebie jedną mam! Ciebie jedną...

Przeciągły rechot ozwał się w pobliżu.

Hrabia odwrócił się i wzdrygnął ze wstrętem. Dwa cienie obdzierały trupa, dzieliły się jego gałganami i opasywały się nimi. Trup podczas rzężał, bulgotał różową pianą.

— Dasz mi więc te sukienka po tamtym!—naprzykrzył się nieśmiało głos Blanki.

Hrabia podniósł się i zwrócił ku bobrującym cieniom.

— Bierzcie sobie, co chcecie — a oddajcie onucze! Kto je ma!? Marta! — Dawaj!

Dwa rzędy ostrych, białych zębów wyszczerzyły się ku hrabiemu.

— Myślisz!

— Tobie nic po tem. Masz i tak najlepsze chodaki!

— Niech mam — a tej lali twojej nie dam! Jeszcze i ten kaptur po niej wezmę!

— Milcz, szelmo!

— Potrząsnąłbyś nią lepiej jeszcze z raz i miałaby dosyć!

Hrabia pochylił głowę. Marta mocniej się wyszczerzyła.

— He-he! Może inaczej. Do zamku swego jej nie weźmiesz, bo nic ci z gnatów! I tak zadość mieliśmy z tą zwiędłą lilijką kłopotu! Żeby nie ona, bylibyśmy za pruską granicą albo i dalej...

— O ja! — westchnął z niemiecka drugi cień.

— Widzisz, nawet ci baron to powtórzy! — Wszystko przez nią! Co najlepsze dla niej szło... Jakby ona jedna była zwyczajna wygody i dostatku! Ale czekaj, nie upilnujesz ty jej—Benoit ci słowa dotrzyma.

— Ani słowa więcej! — zagroził gwałtownie hrabia.

Marta zmilczała. Hrabia żachnął się i powlókł do otworu. Wiew mroźnego powietrza orzeźwił go, dał ochłonąć.

Benoit tymczasem, który był wystroił się w płachtę, zabraną kapitanowi, zawołał na kompanję. Hrabia a za nim Marta i baron wzięli się do roboty, która polegała na porąbaniu saperskim tasakiem kilku desek, wycięciu kadłubowi końskiemu dwóch połaci mięsa i rozniecenia ognia u wejścia do nory.

Była to praca zmudna i uciążliwa. Deski przemarzłe bowiem nie tylko tasakowi, lecz i skrom krzesiwa zacięty stawiły opór, Benoit przecież wpadł na szczęśliwą myśl zerwania z trupa bandaży. Bandaże zatliły się i nakoniec zapaliły połupane deski.

Dym gryzący otulił słaby płomień. I ten wszakże zdołał gromadkę podniecić, rozruszać.

Nastawiono w kociołku, wypełnionym śniegiem, połać koniny, dobyto worka z ziemniakami i zapasami i skupiono się dokoła Benoit'a, który najważniejszej miał dokonać czynności.

Benoit z całą flegmą się do niej zabrał. Więc najpierw sięgnął do ładownicy, usypał z niej garstkę zbutwiałego prochu i wrzucił do kociołka. Zaczem utoczył z baryłki do blaszanej manierki brunatnego płynu i, podsunąwszy manierkę tak, aby ją mieć przed sobą, dobył zeschłą bułkę czarnego chleba, odkrajał zeń cienki plaster i plaster podzielił na pięć dość równych kawałków.

Hrabia, Marta i baron ścigali oczyma każde poruszenie palców Benoit'a, nie ważąc się odetchnąć głębiej, aby nie uronić najmniejszego drgnienia ręki szafarza rozbitków.

Benoit, zadufany, pewny siebie, ani się nie troszczył o chciwe, niespokojne spojrzenia kompanów — a nawet gdy przy odliczaniu ziemniaków, głos Marty zaskrzeczał gniewnie.

— Co, po trzy!? — Wczoraj z kapitanem po cztery było! (d. c. n.)

WIKTOR GOMULICKI.

13)

Walc nocnych mgieł.

— A czy dostrzegłeś w Kätchen coś wyższego nad zwykłą, choćby najdoskonalszą, kobiecość?

— Mówiłem już, że była dla mnie muzą. I więcej niż muzą, bo — aniołem.

— Jako u anioła, domyślałeś się u niej skrzydeł? — skrzydeł tak wielkich, że w najszerszem rozpostarciu sięgałyby od bieguna do bieguna?

— Nigdym o nich nie wątpił.

— Zespolenie się dusz waszych dawało ci szczęście?

— Najwyższe!

— I moc?

— Boską!

— Dla tego szczęścia zerwałbyś wszystkie związki ziemskie?

— Bez namysłu!

— Gotów byłbyś śmierć ponieść?

— Po stokroć!

— Ale wolałbyś był z Kätchen... żyć?

Szybkim ruchem podniósł głowę, włosy w tył odrzucił — prosto w oczy mi spojrzał. Jego oczy, na całą szerokość rozwarte, płonęły jak świece. Nadzwyczajny, tryumfujący ich blask oświecał mu twarz całą wyrazem bezmiernej, nadziemskiej błogości...

To była jego odpowiedź.

Miałem dość. Przyciskając dłonią silnie bijące serce, szepnąłem:

— Kończ pan...

— — — — — — — — — — —

Mischke mówił:

— Przyszedł taki dzień, że do północy przy domu błądząc, nie usłyszałem muzyki. Zamilkł fortepian, to znaczy: zaniemówiła Kätchen. Duszę jej spętano. Ale dusza pęt nie znosi. Wyzwala się z nich w tem, lub — w innem życiu.

Wróciłem do siebie śmiertelnie smutny. Jesienna noc, z bladym księżycem i zwojami mgieł, kłębiących się na łące wilgotnej, napełniły mi duszę rojem widziadeł. Czując, że próżno wołałbym snu, wziąłem do ręki skrzypce, aby na nich resztę nocy — przepłakać.

Myśli moje wirowały — wirowały też i tony. Gniotła mnie trwoga tajemna i tęsknota. Widziałem, że moc jakaś nieokreślona zabiera mi Kätchen — moją muzę, moje natchnienie, mego anioła.

Nie! nie zabiera — z przed oczu mi ją tylko ziemskich usuwa.

Ale i to ból! — ból taki, że od niego wszystkie struny duszy, kurcząc się a potem wyprężając, pękają...

Wyłkałem i wyśpiewałem to wszystko na tle mgieł wirujących. Wyłkałem i wyśpiewałem w takcie „trzy czwarte“ — bo mi taki rytm myśl podała, serce wypukało. I narodziła się stąd ta rzecz dziwna, dla mnie samego niepojęta, którą nazwałem walcem mgieł nocnych...

Słyszałeś pan ten taniec obłąkanej duszy. I musisz mieć serce pokrewne mojemu, skoroś treść jego odgadł, ból odczuł, smutek przejął..

Mischke zamyślił się. Nagle twarz mu zapłonęła, oczy zaiskrzyły się — wpił we mnie badawcze, do dna duszy sięgające spojrzenie. Głucho, lecz z naciskiem wielkim szepnął:

— A może... i ty... Kätchen... także?..

Spuściłem oczy, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia.

Uspokoił się natychmiast. Dłoń po czole przesunąwszy, ciągnął:

— Napisałem walca na fortepian, potajemnie jej przesłałem. Moje nocne włóczęgi nie ustały. Krążyłem dokoła jej domu, jak ćma dokoła świecy. Zaczęto pokazywać mnie palcami. Jedni widzieli we mnie obłąkańca, inni upiora. W tym też czasie zacząłem nosić przy sobie nabity rewolwer.

Ale choć co wieczór w słuch się zamieniałem, nigdym jednego tonu z pod jej ręki nie usłyszał.

Nareszcie, późną już jesienią, wskroś ciemności i wichru, gnącego drzewa, liśćmi suchymi grzechoczącego, przedarło się do mnie kilka taktów mej boleściwej melodji...

Był to odzew. I był to znak, że dusza Kätchen, chwilowo od więzów wolna, przywołuje moją.

Usłuchałem wezwania. Nazajutrz, zdobywszy się na bohaterstwo, poszedłem do tego domu, bardziej dla mnie niedostępnego, niż zamki warowne, murem i fosą otoczone.

Zastałem Kätchen samą. Komiwojażer, po długiej bezczynności, wyruszył nareszcie w drogę. Czuć się musiał bezpiecznym, o zdobycz swą spokojnym...

Przyjęła mnie jak dawniej: serdecznie i poważnie. Odczuwałem jej wyższość, i to

mnie cieszyło. Dusza jej, częściowo rozpętana, odzyskiwała łączność z bóstwem.

Nie graliśmy tego wieczoru, ale zespół naszych dusz piękniejszy był, niż wszystkie duety. Czasem tylko zasyczała w nim nuta fałszywa, jakby z zerwanej lub niedociągniętej struny pochodząca...

— Nie uległabym — mówiła—gdyby nie obowiązek honoru. Tylko nędzne dusze plamią się niewdzięcznością. Ileż razy córki poświęcały się za ojców...

Czyż mogłem zwalczać tę omyłkę? Ona na niej swój cały byt ugruntowała!

Czyniłem wszakże wszystko, co było w mej mocy, aby ją ze szpon złego ducha wyrwać. Przypominałem, że ojczyzną jej — niebo; że do wybranek należy, którym Bóg tajemnicę harmonji wiekuistej odkrył, i innym wyjaśniać pozwolił; że ziemskie więzy, choćby najszlachetniejsze, nie powinny ducha krępować; że wolna jak ptak na ziemię przyszła, i wolna jak ptak ma na niej przebywać...

Słuchała w milczeniu, ale ze stałym wyrazem wyższości, wypisanym na czole, świecącym w oczach, utrwalonym w ust układzie.

Rozstaliśmy się przyjaźnie. Obustronnie zapragnęliśmy ponownego spotkania. Jednak, powracając do siebie, czułem w sercu głuchy, nieustępliwy niepokój, który niczem zażegnać się nie dawał.

Nazajutrz szara godzina znów nas otulała siedzących przy sobie, zbratanych, zespolonych, duszę do duszy przelewających. Prawie mimowiednie w rękach moich znalazły sę skrzypce, smyczek — Weber, Szubert, Szuman, wreszcie boski Wagner przez uchylone okno ku niebu popłynęli. A na niebie szczelinami chmur czarnych wychylał się księżyc, i na nas, w ciemnym pokoju, zdala od siebie, siedzących, zezem spoglądał...

Tego dnia praca nad wyzwoleniem jej duszy pomyślniejsza była. Na złowrogiej szachownicy wykonałem kilka mistrzowskich posunięć, które szatanowi nie mało krwi napsuć musiały.

Jednak w duecie jeszcześmy nie grali. Jeszcze zespół nasz nie był zupełny.

Dopiero trzeciego dnia, po długiej wymianie myśli, przy której noc nas zaskoczyła, poczułem, że duszę jej mam w ręku. Kätchen zapaliła świece przy fortepianie, rozłożyła nuty. Ja ująłem skrzypce. Mogliśmy nareszcie zagrać mego „Walca".

To było nadzwyczajne! Wprost nadziemskie! Nigdy jeszcze dotąd potęga muzyki, harmonji, dźwiękami wyrażonej boskości nie objawiła mi się z taką mocą, w takim blasku!

Dopiero wówczas, mając Kätchen przy sobie, zrozumiałem swe własne dzieło. Olśniło mię i przeraziło. Całe dzieje naszych dwojga dusz były w tej muzyce zamknięte.

Następujące po sobie takty to zacieśniały, to rozluźniały nasz związek. Dusza Kätchen to zbliżała się do mnie, to oddalała. Księżyc mi ją ukazywał, mgła kryła. Duch mój naprzemian: promieniał radością i grążył się w rozpaczy.

Z zatrzymanym oddechem, z zamierającem sercem, rozwiązania upiorowej zagadki czekałem...

W tej chwili—z brutalnym, drażniącym, chamskim hałasem, pchnięto z zewnątrz drzwi, które się na całą szerz rozwarły. Do pokoju, jak zwierzę rozjuszone, wpadł komiwojażer.

Wpadł, i na środku, ze zjeżonym włosem, z zesłupiałymi oczyma, z otwartemi do krzyku, lecz milczącemi ustami—zdrewniał. Wściekłość go odrętwiła.

Mnie zaś było, jakbym wyzwolił się już z ciała, i na sprawy ziemskie z niezmierzonej patrzył oddali. Mniej obszedł mię ten człowiek, niż ćma, lecąca do świecy.

Nie przerwałem na chwilę muzyki — jej również rzuciłem rozkaz:

— Graj dalej...

I znów walc płynął, mgły wirowały, księżyc to ukazywał się, to niknął.

Wtem zawołano jakby z pod ziemi:

— Kätchen!...

Chwila milczenia, potem jęk rozdzierający:

— Przysięgłaś, Kätchen!...

Ona zmyliła takt jeden — później kilka taktów. Jednak gry nie przerywała.

I znów ten głos straszny, niewiadomo skąd wychodzący, który nie był głosem komiwojażera i zdawał się wcale doń nie należeć:

— A ojciec twój, Kätchen?.. A łzy twoje i rąk całowania?..

Struny fortepianu szczeknęły brzydkim, fałszywym akordem, i zamilkły. Ręce Kätchen osunęły się bezwładnie z klawiszów.

Wypadły mi z rąk skrzypce. Obróciłem

wzrok na Kätchen. Nawskroś ją przeniknąłem, i — zadrżałem. Jej dusza z rąk mi się wysuwała.

Jeszcze w niej niebo walczyło z ziemią, jeszcze przeciwne moce z równym skutkiem ciągnęły ją ku sobie. Alem dojrzał — raczej przeczułem — że się chwieje...

Okropna chwila! Straszne, ostatnie, błyskawicznie szybkie posunięcia, od których los całej partji zależy!

Kätchen wstała. Nie poruszyła się jeszcze, ale linje jej ciała wskazywały, że oddalić się chce.

W tejże chwili, nie patrząc na tamtego, dostrzegłem, że wyszedł z odrętwienia i — rzucić się ma na mnie...

Miałże szatan zwyciężyć?

W dłoni mej znalazł się błyskawicznie rewolwer. Wycelowałem. Padł strzał — i odrazu trupem położył...

— Komiwojażera?

— Kätchen.

Czarna chmura zasłoniła mi wszystko. Pod stopami uczułem przepaść.

— Zbrodniarzu!..

Chmura stała się krwawa. Piorunowe zygzaki przeszyły ją w różnych kierunkach.

— Moją kobietę zabiłeś... Giń!..

— — — — — — — — — — —

Świat tonął w ciszy i błogości. Słońce, jakby przesiewając swój blask przez gęste sito, kładło bladą pozłotę na płowych rżyskach i łąkach wyrudziałych. Drzewa stały zamyślone, zasłuchane, solenne. Ptak rzadko przeleciał, a czynił to na pół sennie, z lenistwem lazzarona, nie śpiesząc. Bo i po co śpieszyć miał, gdy mu na każdem miejscu było tak dobrze?

Miałem i ja duszę wygładzoną, obecności radą, zmian nie pożądającą. I nie śpieszyło mi się nigdzie, pomimo, że pociąg kolejowy przez tę bladą słoneczność ze zwykłą niósł mnie szybkością. Ale i on inny był, niż zwykle, do ogólnego tonu w przyrodzie dostrojony. Biegł równo, bez wstrząśnień, hałasu — sunął zda się elastycznemi kołami po szynach aksamitnych.

Chciałem uprzytomnić sobie wrażenia, doświadczone w tych miejscach przed tygodniem.. Przychodziło mi to z trudnością. Miałem świeżą pamięć tamtych faktów: wichrowej, piorunowej nocy, targanego burzą pociągu, druzgotanych drzew i słupów drogowych, wreszcie własnego, dobrowolnego osamotnienia — nastrój wszakże owych chwil był dla mnie teraz niezrozumiały, prawie obcy...

Nie jest-że to zwykła spraw ziemskich kolej? W słodkich pieszczotach słońca, które się do mnie przez otwarte okno



Ignacy Pieńkowski. (Sal. art. Richlinga) **Sad.**

wagonu przymilało, nie było cienia pokrewieństwa z burzą, która tu przed tygodniem szalała. Za dwa, trzy miesiące, gdy na tych polach i łąkach legnie śmiertelny całun zimy, znów one będą czemś innem, nowem z obecną, miłą, kojącą ciszą niczem nie zespolonem.

Czyż nie tak samo szaleje i ucisza się, zamiera i na nowo się rodzi serce ludzkie? I czyż nie tylko temu dobroczynnemu prawu zawdzięcza człowiek, że żyć i nawet weselić się może, choć groby ma za sobą i przed sobą?

Na przystankach miałem pełne uszy śmiechu kobiet i dzieci, usypiającego chrzęstu koników polnych, ćwierkania tłustych, zadowolonych i zadowolenie budzących wróbli. Snem mi się wydawała nocna scena na Totgasse—choć z niej wyniknął dzień aresztu policyjnego i kara pieniężna za zakłócenie porządku w miejscu publicznem. Uderzyłem — Boże mnie skarz! — człowieka niewinnego; uderzyłem właściwie własnej wyobraźni marę...

Wracało do mnie teraz to wspomnienie z jakiejś bezmiernej dali, i żal czułem pewien—nie głęboki zresztą, rozkoszowania się przecudnym dniem nie mącący.

O swojej kobiecie myślałem, jak o gwiaździe brylantowej, w otchłaniach nieba wiszącej, miljonami mil odemnie przedzielonej...

Jednak za szczęście tom poczytał, że mi los nie dał tym razem towarzysza w kratkowanej odzieży, w czapce z guzikiem. Może nie oparłbym się pokusie wyrzucenia go przez okno...

KONIEC.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

14)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Jasieniec w piersi dech zaparł i słuchał.

— Ale to z wiosną ino bywa... Teraz zima, mróz luty — dokończyło pacholę.

— Czekać do wiosny!.. — z głuchem westchnieniem wypadło z piersi rycerza.

— A wy myślicie, że to tak odrazu można i z panią wojewodziną mówić o was?

— Toć prawda!

— Czasami i szczęście zabija! — dodał chłopak — —

— Mówisz, jak stary, jak doświadczony mąż w sprawach przeróżnych — rzucił Jasieniec.

— Gdy wiosna nadejdzie, dziewki się rozgrzeją i ponocne tany zawiodą, — (na co Sołtysiak pozwoleństwo im daje, ulegający świergotowi Perełki,) — a pan wojewoda do Pilicy pojedzie—wtedy... może się jakoś uda czujność Maćkową uśpić, do widzenia się z wami panią wojewodzinę przygotować i was wpuścić w przebraniu czy bez przebrania... bo ja wiem! Zawiadomię was o wszystkiem— ino jak i gdzie? — powiedzcie!

— Codziennie staję na skraju puszczy i patrzę na zamek — rzekł Jasieniec.

— Codziennie nie trzeba — rzekł Przemko — bo tam ktobądź dostrzeże was i panu wojewodzie o tajemniczym rycerzu doniesie. Raz, w piątek, zatrzymajcie się na chwilę w miejscu naszego spotkania, o słońca zachodzie — a ja przybiegnę i powiem wam, jak jest.

— Niech tak będzie! — z ciężkiem westchnieniem rzekł Jasieniec.

Znowu zapanowało milczenie.

Kukułka zerknął na pogrążonych w zadumie, brwi ściągnął i wargi przygryzł. Znać, że coś było nie według jego myśli, że czego innego chciał, pewności większej, jako się rzecz cała ułoży, by mógł myśl swoją w czyn jakiś niegodny przemienić, a tu wszystko w mgłach i oddaleniu widział. Po chwili łbem pokręcił, do pozycji drzemiącego pijanicy wrócił i szepnął:

— Dobreć i to, co wiem!

I znowu uszu nastawił.

Jasieniec rozbudził się z marzeń, zwrócił się do Przemka i rzekł:

— Wspomniałeś coś o Pilicy—kto teraz na zamku Pilickim przebywa.

Przemko wzrok ku ziemi opuścił i szepnął:

— Pani Maryna, ze sławnego Pileckich rodu.

Silny rumieniec wystąpił na twarz młodzieńca — —

— A no, ród sławny tem — odezwał się Jasieniec — że nieboszczyk nasz pan a ojciec panującego dziś nam miłościwie króla Kazimierza z domu tego małżonkę dla się wziął.

— Jużci, że dlatego... bo dziś...

Tu Przemko urwał — —

— Dziś co? — zapytał Pełko — —

Silniejsze rumieńce zagrały na jagodach pacholęcia — —

— Panią Maryną się sławi — szepnął.

— Wyraźniej mów! — rzekł Jasieniec —

— Pokuśnica to straszliwa ma być, że chyba jeno święty człek urokomby się jej oparł i to bardzo święty. Na zamku ciągłe festyny i gości huk, a żar ma być od serc gorącości... niby w upał sierpniowy, ale... ale... (tu znowu wzrok ku ziemi opuścił) mówią... Boć to zawżdy pomiędzy dworzany gadki rozmaite chodzą, — że nikt o tej pani nie myśli tak, jak — pan wojewoda!

— Wojewoda?...—rzucił się Jasieniec —

— Byleby co zacniejszy klejnot jaki ułapił, parangony czy balasy,*) libo sobole drogie, abo cobądź pani się onej spodoba — to zaraz do Pilicy, do Maryny wiezie i sam do stóp się jej kładzie — —

— A małżonka?!..— zawołał rycerz —

Przemko wzniósł oczy i spojrzał uważnie w twarz Jasieńca — —

— Chcielibyście?.. — zapytał — —

— No — nie, nie!.. — pochwycił szybko Jasieniec. — Jakom żyw—nie! — dodał z mocą — —

Chwilę oddychał ciężko — —

— Dźgnąłeś mnie w pierś, — niby nożem tatarskim w pierś mnie dźgnąłeś!.. A niechże tam psem przywrze się do onej pani Maryny — i zczeźnie!.. Jak kania dżdżu, jak tchu krtań zdławiona, oczekiwać teraz będę pierwszych dni wiosny, pląsów ponocnych, przybycia twojego i szeptu: „Chodź! czeka na cię lilija biała!..“ Nie żałuj obietnic Maćkom czy nie Maćkom, brzęczącem złotem popartych — ile chcesz, ile chcesz tylko!.. — mówił Jasieniec, wewnętrzną trawion gorączką — byleby furta stanęła otworem raz i drugi, bo już tym razem drugim sam wejdę, lecz nie sam wyjdę!..

— A-ha! — mruknął do siebie Kukułka.

Jasieniec tchem jednym wypił ostatni łyk wina — i powstał.

W tej chwili Zaraniec zachrapał silnie i szczelniej łeb swój obiema zakrył rękoma.

— Odprowadzę cię — rzekł rycerz do Przemka się zwracając.

Przemko poruszył głową —

— Wżdy nie dać mi już ciebie na pożarcie wilkowi — zaśmiał się rycerz.

— A mnie waćpana nie narazić na obserwację przez straż zamkową—dodało chłopię — —

— Noc — rzekł Jasieniec — —

*) Brylanty i rubiny.

— Tem słuch czujniejszy, bystrzejsze oko mają stróże, — odparło pacholę.

— Nie może inaczej być — upierał się Jasieniec. — Wilczyska rują, włóczą się teraz, a dbać musisz o siebie, choćby dla mojej sprawy.

— Ja więc równiną a wy skrajem lasu pójdziecie. Gdy posłyszycie kołatkę, to znak, żem już do furty się dostał — i — z Bogiem i myślą dobrą wracajcie do Smolenia!

Zaledwie opuścili izbę karczemną, jak Kukułka podniósł się z zydla swojego, wyciągnął się ziewając i krzyknął:

— Wina, żydzie!

Trzasnął pięścią o stół, aż rozsadzony na dwie połowy, runął na ziemię.

Przemko biegł szybko, śnieg skrzypiał pod nogami. Księżyc wysadził się na sam środek niebios i blaski srebrne sypał garśćmi pełnemi. W olśnieniu stała dolina i lasy okolne, miedziane dachy zamku jarzyły się w poświacie miesięcznej. Jasieniec jechał brzegiem lasu i patrzał na malejący coraz bardziej punkcik postaci Przemka. Widział, jak gnał równiną na przełaj, nie zważając nawet na steckę ubitą; jak się zatrzymał na krótką chwilę przed rozciągniętem ścierwem wilka, jak się pochylił i za chwost go poruszył i pobiegł dalej, kierując się ku skałom, na których wznosił się gmach ogrodzienieckiego zamczyska. Nikła sylwetka pacholęcia znikła wśród załamań murzysk i krzewów jałowcowych—chwilę była cisza, poczem odezwał się głuchy klekot kołatki.

— Pomagaj ci Bóg!— szepnął Jasieniec.

Ostrogę koniowi w brzuch wraził i pognał ku siedzibie starego wilka.

Bez przeszkód żadnych przepuścił stary Maciek Sołtysiak powracającego Przemka, bo choć ten trochę przydługo zabawił w gościnie u księdza plebana, ale widno, że tak dobrodziej chciał, który jak umiał i mógł opiekował się chłopcem. Przemko przeprosił starego, że z łoża go ściągnął i może jaki miły sen przerwał, ale stary Maciek żadnego niezadowolenia nie pokazał, uśmiechnął się nawet uprzejmie, bo lubił Przemka— i tylko rzekł, by cicho wedle babieńca przesuwał się, bo jakości niedawno tam ucichło, a ktoś co chwila na korytarze wychodził, przystawał to tu, to tam, jakby nasłuchiwał albo czekał na kogo. Musi być jejmość ochmistrzyni na wywiady wychodziła, albo pani wojewodzina zasłabła gorzej.

(d. c. n.)



Jezioro na Kujawach. **Fotogr. Stanisław Maciejowski.**

(Z wystawy „Krajobraz polski").

Przedwyborcza trybuna.

Już niezadługo skończy swój tragiczny żywot 3-cia Duma. Zapisze się ona w naszej pamięci, jako widmo, które stale przypominać nam będzie ciemnotę, upór i omijanie elementarnych zasad konstytucyjnych. Chyba tylko czasy administracyjnej wszechwładzy mogą iść o lepsze z uchwałami większości dumskiej! Zapewne, że za te uchwały nie chcemy czynić odpowiedzialnymi ani Andrejewa, ani Gorkija, ani też partji lewicowych rosyjskich. A jednak, choć dokładnie wiemy, że nie naród, jako całość, lecz tylko poszczególne jednostki o ferworze puriszkiewiczowskim forsowały uchwały dumskie, tem nie mniej nie wstrzymujemy się od uwag nad życiem konstytucyjnem w Rosji, gdyż koniec końców większość obecna—to opinja, z którą musimy walczyć. Przez wspólną państwowość jesteśmy siłą rzeczywistości zmuszeni do bacznego rozrachunku sił i środków, do liczenia się z każdym ruchem i odruchem, gdyż brak świadomości prowadzi zawsze na manowce. Poznać musimy prądy opinji rosyjskiej, musimy odnaleźć zbieżność interesów, ale nie należy przeoczyć i rozbieżność.

Prasa rosyjska od jakiegoś czasu stale zajmuje się odgadywaniem, jak będzie wyglądała nowa Duma. Większość godzi się na twierdzenie, że ta nowa Duma posiadać będzie więcej elementów konstytucyjnych, niż obecna nacjonalistyczna. No, ale to są na razie tylko odgadywania horoskopów, które mogą dać takie rezultaty, lecz mogą też wykazać cały fałsz tych przewidywań. W każdym razie, pomimo całego krytycyzmu co do tych horoskopów, należy zauważyć, że opinja rosyjska nie jest zadowolona w zupełności. Głosy niezadowolenia są wyraźniejsze teraz, niż były kilka miesięcy temu. Otóż fakt ten rzeczywiście nasuwa przypuszczenie, że mogą przejść przy następnych wyborach kandydaci postępowi, a nawet radykalni.

Powstaje pytanie, jak będzie wyglądało nasze przyszłe przedstawicielstwo narodowe. I tu należy stwierdzić, że opinje od czasów endeckiej karności zmieniły się bardzo. Ubolewają, coprawda, niektóre organy prasy nad tem, a nawet głośno żałują, że brak w Dumie obecnej naszego Bismarcka, lecz są to przeważnie wynurzenia stronników ugody. Cała prasa demokratyczna, bez różnicy odcieni, zerwała stanowczo z szacherką słowiano-filską, z dyplomatycznymi figlami, które zawsze motywowano racją stanu. Dziś wszyscy żądają jasnych i konkretnych motywów każdego czynu politycznego, dziś wymagają określonych argumentów przy abstynencji w uchwałach parlamentarnych. A jednak pomimo tych jasnych wymagań nie mamy dziś stronnictwa, któreby reprezentowało wyraźnie naród. Posiadamy większe lub mniejsze grupki, posiadamy wiele „frond" — ale nie mamy stronnictwa. Wśród postępu niema żadnej organizacji. Niema też większych, ważkich organizacji chłopskich, ani inteligienckich. Wszystko, jednem słowem, jest w rozsypce. Co jednak jest najgorsze, że nie próbowano dotychczas stworzyć jakiej takiej platformy, którąby doprowadziła do porozumienia i do wspólnej akcji. W krytyce, w negacji godziły się nieraz ze sobą różne grupy, w pozytywnej konsolidacji dla wspólnej pracy nie znaleziono żadnych łączących nici. Ile razy zawołano „nie"— echem odpowiedziało kilka reprezentujących głów. Ile razy zawołano „tak" — nikt się nie odezwał i głos pozostał samotny. Każda z grupek chce zachować swoją wyłączność przy pozytywnej pracy, chce podporządkowywać inne swoim żądaniom, ale nie chce nic ustąpić ze swojej samodzielności. Jest to objaw nad wyraz szkodliwy. Nie świadczy on zupełnie o bujności życia w świadomości polityczno-społecznej, lecz o doktrynerstwie.

Zjawisko to jest znamienne dla skrajnych stronnictw. Kłócą się one o literę jakiegoś paragrafu, choć życie śmieje się tym sporom prosto w twarz. W grupach demokratycznych, o których każdy wie, chodzi o inne postulaty. Nie spierają się o literę, grają na giełdzie wpływów, jakieby można mieć, gdyby udało się zabrać monopol polityczny w swoje ręce. Jest to wyrachowanie praktyczne, które w walce wyborczej może przynieść wiele zysków, ale też gdy za daleko posuną się te grupki w swoich wyrachowaniach, napewno wszystkie stracą. Skorzysta z tego karna opinja ugodowa i przeprowadzi znów swoich kandydatów. Z tem liczyć się należy, należy to wziąć pod uwagę już dziś. W czasie wal-

-ki wyborczej nie można będzie odpowiednio zorganizować swoich wpływów. Tylko bowiem przygotowanie może dać rezultat niezawodny.

Dosyć przypomnieć sobie ostatnie wybory w zaborze pruskim, by zrozumieć słuszność takiego a nie innego rozwiązania kwestji. Dziś nie mamy już czasu do odkładań. Za kilka miesięcy ogłoszone będą wybory i zastaną nas nieprzygotowanych. Nic dotychczas nie zrobiono. Nie porozumiano się w celu jakiejkolwiek akcji. Możemy jeszcze doczekać się takich pięknych czasów, że reprezentacja, przez przypadkowość gry, dostanie się w ręce jakiegoś najzupełniej niepowołanego indywiduum.

Grupki konserwatywne, zupełnie ugodowe, w ostatniej chwili wytworzą blok, który w swojej taktyce karnie pójdzie do urny. W szeregach bowiem tych przyzwyczajono się tak do autorytetów, że wystarczy jeden frazes ze strony jakiegoś domniemanego pomazańca, aby instynktownie zorganizować obrońców okopów hr. Henryka. W grupach zaś demokratycznych taką karność można zdobyć tylko przez przygotowanie. Tu nie znaczy nic sugiestja, a przynajmniej bardzo mało. Każda grupka będzie się trzymała swojego programu i nie odrzuci swoich różnic przekonaniowych dla dobra ogólnego. Jest bowiem założeniem demokracji, że należy pozostawić wolność przekonań wszystkim. Założenie to jednak w interpretacji naszej zawsze wygląda na demagogję, która wołając o wolność przekonań, równocześnie chciałaby krzykiem ogłuszyć swoich przeciwników i narzucić im swoje zdanie. Otóż, chodzi o to, by pozostawiając demokratyczną wolność przekonań, nauczyć się odnajdywać nietylko różnicę, lecz przedewszystkiem te punkty styczne, które mogą doprowadzić do solidarnej walki o jakieś ulepszenie lub do obrony zagrożonych warunków naszego istnienia. Stronnictwa, a właściwie nasze grupki demokratyczne nie chcą wziąć pod uwagę tego kardynalnego wymagalnika współpracy społecznej. I, o ile starają się zawsze i wszędzie podkreślać różnice, nigdy nie chcą otwarcie przyznać łączności, zbieżności. Gdy chodzi jeszcze o jakiś kontratak przeciw naturalnej jakiejś krzywdzie narodowej, podniesie się larum. Skonstatuje ten wrzask, że krzywda się dzieje, ale solidarnie zapobiedz złemu, uleczyć ranę, nigdy nie znajdzie w sobie dotyla zaparcia. Zło się widzi — neguje się go, ale pozytywnej wspólnej metody w celu zapobieżenia—znaleźć nie można.

Praca obecna, przed wyborami, powinna przedewszystkiem na odnalezieniu wspólnoty interesów oprzeć swoje fundamenty. Należy odnaleźć jedno źródlisko i jedno ujście dla naszych społecznych i politycznych dążeń. Niech to, co nas łączy — przeszłość i przyszłość narodu, podyktuje nam pospólny blok do przygotowania wyborów. A wtedy może więcej będziemy zadowoleni z naszej reprezentacji. A wtedy z większym spokojem patrzeć będziemy w przyszłość. I nikt z tych, co przyjdą po nas — nie rzuci nam w twarz obelgi, że tylko na swarach marnowaliśmy życie.



Teatr Wielki. Roland — Owerłło — Frenkiel. **„Rywale".**

Rywale. — Teatr.

W teatrze Wielkim wszystkie miejsca były zajęte. Poprzystawiano nawet krzeseł kilka a w kącikach dyskretnie stali różni wielbiciele i przyjaciele talentu Owerłły. Był bowiem wieczór ten szczególnie przyjacielski, co więcej—czuło się na sali jakiś nastrój familijny. Zebrali się tu wszyscy stali bywalcy teatralni, by swoją obecnością zaświadczyć o życzliwości i uznaniu dla jubilata; a gdy zjawił się na estradzie — długie, niemilknące oklaski zatrzymały bieg akcji scenicznej.

Po skończonym akcie, podniesiono kurtynę i scena zaroiła się od tłumu artystów—kolegów i koleżanek. Wniesiono olbrzymie kosze kwiatów, wręczono biżuterję oraz inne upominki. Serdecznie ściskano „kochanego Pawła", a publiczność powstała z miejsc i rzęsiście biła brawo. Bił brawo na scenie aktorski świat wraz z mistrzami Kamińskim, Frenklem i Leszczyńskim, którzy dopomagali gorąco do zwiększenia ogólnego podniosłego nastroju... A gdy wracaliśmy do Sheridanowskiej komedji—był to powrót z innego namaszczonego,

serdecznego świata, w objęcia angielskiego, morskiego śmiechu. Na sprawozdaniach recenzentów ten przeskok nastrojowy uwydatnił się w całej pełni. Nie chcieli słuchać Sheridana uważnie—po głośnych, serdecznych manifestacjach. Raził ich satyryczny, beztroski śmiech — co wybucha z nadmiaru sił, urągali mu, że jest przypadkowy. A jednak i oni musieli rozchmurzyć spoważniałe czoło, gdy Frenkiel wmawiać zaczął w swojego Absolutka, że Jasio powinien mitygować swoje rozkapryszone nerwy.

Sheridan na scenie naszej będzie długo grany. Zapewne dopokąd będziemy mieli teatry, od czasu do czasu afisz zapowie tryumfalny powrót tego arcyczasowego pisarza albiońskich mgieł przed oblicza nasze. Ludzie lubią patrzeć na różne krzywizny, upadki, karykatury. A jeszcze, gdy te karykatury nanizane są mocną ręką talentu— to wtedy teatr aż woła, by je pokazywać. Pan Owerłło uczynił dobrze, że odszukał w literaturze „zapomnianej“ tę ludzką komedję i przypomniał ją publiczności warszawskiej. I chociaż różni żółciowi i niezadowoleni zoile, więcej o „rewolwerach“ śnili w dzień premiery, niż o rywalach, to nie czyni ujmy Sheridanowi. Znajdzie się jeszcze i Fredro na scenie naszej, a wtedy gdy spojrzą w twarz jego, orzekną wszystko, byle nie „Rewolwer“. Kto uważnie słuchał Schawa, ten przez Scheridanowskich „Rywali“ jeszcze bardziej będzie w stanie odczuć na czem polega dowcip i koncept jego komedji.



Wostrowski
nowomianowany reżyser dramatu i komedji.

Aktorzy grali bez zarzutu. Frenkiel, jak zwykle, budził huragany śmiechu i dzielnie mu wtórował p. Wilczyński, który stworzył ciekawy typ „zabijaki“. Poczciwego tchórza stylowo odtworzył jubilat—Owerłło.

Ostatnie rozporządzenia dyrekcji teatrów podały do publicznej wiadomości, że scena warszawska będzie miała dwuch głównych reżyserów. Prócz p. Śliwińskiego będziemy jeszcze mieli p. Wostrowskiego, artystę o wielkim talencie. Mamy nadzieję, że nominacja ta przysłuży się dla dobra i pożytku naszego teatru.

Farsa przestała bawić się... prawą ręką i teraz rozpoczyna mańkutem doszukiwać się złotej żyłki dla kasy. I zdaje się, że nie zawiodły przypuszczenia. „Lewa ręka“ ma bowiem wszystkie szanse powodzenia. Jest lekko strawna, bawi, a przytem ma w sobie tyle przyzwoitości, że może zadowolić nawet nieprzyzwoite gusta. Co jednak najwięcej zaważy na powodzeniu — to mistrzowska gra aktorów. Gasiński znalazł dla siebie bajeczne pole popisu. Pani Leszczyńska, Bogorska i panowie Trapszo, Kamiński i Jarszewski dzielnie pomagali „torturować“ śmiechem publiczność. Gasiński już dawno nie wzruszał tak sprytnie... Może dlatego, że gra na lewej ręce? A przecież od czasu ożenku (na scenie) musi stale grać tylko na prawej!

E C.

Tadeusz Leliwa.

W ubiegłym tygodniu występował gościnnie w Filharmonji, w koncercie na cel dobroczynny, ulubieniec Warszawy, znakomity śpiewak Tadeusz Leliwa.

Leliwa rozpoczął swą karjerę artystyczną jeszcze jako student uniwersytetu w Kijowie. Skończył dwa fakultety: prawny i medyczny. Dziesięć lat temu śpiewał w „Aidzie“ i w „Halce“. Do repertuaru swego zalicza 36 oper. W Warszawie, Kijowie, Petersburgu, Lwowie, Krakowie, Turynie, Medjolanie, Palermo, Brescii, Gienui, Barcelonie, Madrycie, Londynie, Bostonie, Nowym Yorku, Chicago, Tyflisie występy jego były szeregiem tryumfów. U nas, jak zaznaczyliśmy, występuje tylko gościnnie, gdyż warszawską operę coraz liczniej zaczynają nawiedzać obce żywioły, bynajmniej nie wznosząc takowej na wyższy poziom artystyczny.



Tadeusz Leliwa.
(Gościnny występ w Filharmonji).

Z salonu Richlinga.

Niedawno powstały w mieście naszem salon artystyczny Richlinga rozwija coraz szerzej owocną swoją działalność. Ruchliwy kierownik często zmienia swoje wystawy, dając tem możność licznej, bardzo licznej rzeszy artystów, nietylko z najświeższemi pracami swemi wystąpić przed publicznością, ale też niekiedy prace te spieniężyć.

Jest to czynnik niezmiernie w życiu artystycznem doniosły, bo jakkolwiek nie koniecznie po to się maluje, aby jeść, ale doprawdy, bez jedzenia — już nawet przy najwyższem zaparciu się potrzeb powszednich — malować niepodobna. Stąd też, dobrze zorganizowane pośrednictwo w tej mierze, dla naszej produkcji artystycznej jest sprawą nader ważną i może bardzo dodatnio odbić się już nietylko na jej wzmożeniu pod względem ilościowym, ale także jakościowym.

Pan Richling, jak dotąd, o ile się zdaje, pośrednictwo to prowadzi w sposób najpilniejszym potrzebom w danym zakresie odpowiadający. Mianowicie, pe-



Zjazd kółek Staszicowskich. Włościanie radzą nad swojemi sprawami.

wien cenzus artystyczny normuje ogólny poziom wystawy, co wyłącza od konkurencji z utworami prawdziwej sztuki, ordynarną tandetę przemysłową.

Powiedziećby tu można — od konkurencji nielojalnej, gdyż tandeta owa w oczach niewyrobionej estetycznie publiczności, jest prawie zawsze dla szczerej sztuki, konkurentem niebezpiecznym i jedynie od dobrej woli oraz istotnego poczucia artystycznego pośredników zależy, ażeby nie uledz ponętnym tendencjom szerokiego popytu i nie sprzedawać „wdzięcznych obrazków" zamiast niewdzięcznych, dla wielu dzieł sztuki.

Ale też jedynie wstrzemięźliwość na tym punkcie sprzedawców, może z czasem tendencje te podnieść i uszlachetnić. Salon prywatny przez częste zmiany wystaw, przez zawieszanie na swych ścianach utworów drobniejszych i bardziej dla każdej kieszeni dostępnych, przy zachowaniu jednak właściwego cenzusu artystycznego, wciąga warstwy najszersze do zainteresowania się produkcją artystyczną i wytwarza w nich wyższe potrzeby estetyczne.

Salon prywatny nadto, jako niezależny i, że tak powiemy, w ruchach elastyczny, daje u siebie gościnę młodszym i najmłodszym artystom, ułatwiając im tym sposobem pierwsze kroki na drodze do sławy i popularności.

Na urządzonej obecnie w salonie p. Richlinga wystawie, tak zwanej „przedwiosennej" spotykamy też kilku wcale pięknie zapowiadających się debiutantów. I tak wcale dodatnio przedstawiają się pejzaże pastelowe p. Wacława Jankowskiego, syna znanego szeroko w kraju i we Francji ilustratora i malarza Czesława Borysa Jankowskiego.

Są to pięknie z dużem poczuciem artystycznem i nie bez pewnego już wyrobienia zawodowego, zanotowane wrażenia z podróży do Włoch.

Jeden z nich wybraliśmy do reprodukcji.

Ciekawie też przedstawia się młody dekorator p. Dzierzbicki, którego też utwór charakterystyczny podajemy niniejszem w odbiciu.

Poza tem przedstawiamy kilka innych utworów, które łaskawie pozwolono nam fotografować, ażeby w obrazku same przemówiły za siebie.

Niestety niepodobna zmieścić w numerze wszystkich prac, które zgromadzono obecnie w salonie p. Richlinga. Zaledwie można tu zanotować nazwiska z licznego pocztu artystów posiadających tam dzieła mniej lub bardziej... a czasem istotnie bardzo wybitne.

Więc, p. Konstanty Górski ma tu prześliczną kolekcję ilustracji do bajek i klechd ludowych; Bronisław Kowalewski, wystąpił tym razem z pełnem charakteru studjum „Chłopki", co świadczy, że znany nasz pejzażysta nietylko w zakresie krajobrazu może tworzyć rzeczy zgoła nieprzeciętne.

Marjan Wawrzeniecki ma tu utwór, jak zawsze niezmiernie ciekawy, a ogromnie dla swej indywidualności artystycznej charakterystyczny „Baśń o świętej męczennicy".

Z puścizny po zmarłym przedwcześnie Franciszku Żmurce wystawiono tu niezmiernie dla artysty tego typowe „Sfinks" i „Pocałunek".

Typowe są również utwory „Trójka" Czesława Tańskiego i „Czwórka" Stanisława Masłowskiego.

Z pośród znanych pejzażystów spotykamy tu Rapackiego, Noskowskiego, Pieńkowskiego, Brochockiego.

Z pejzażami także wystąpił prof. Mehoffer.

Dla uzupełnienia sprawozdania, wyliczyć jeszcze musimy nazwiska: Augustynowicza, Wiśniewskiego, Maszyńskich, Lindemana, Gawińskiego, Puacza, Łempickiej, Muszkatówny, Kossuthówny, Janiny Wierusz-Kowalskiej, Żdzisława Kraśnika, Uziębły, Rafała Wąsowicza, Mondrala, Krasnowolskiego, Rzeckiego, Woydyny, Cichockiego.

Z rzeźby jest znany powszechnie „Csikos" Wacława Szymanowskiego. Nadto utwory Stefana Pillatiego, Blacka i Janika.



Inż. Emil Schoenfeld
główny naczelnik warsztatów kolei Warsz. Wied. Wobec zmian na kolei ustąpił ze stanowiska.

Pożegnanie inż. Schoenfelda.

W sali Tow. wioślarskiego żegnano wspólną ucztą głównego naczelnika warsztatów kolei Warsz. Wied., inżyniera Emila Schoenfelda, opuszczającego wobec zmian na tejże kolei, wielce odpowiedzialne stanowisko, na które godnego zastępcę nie tak łatwo znajdzie dyrekcja „Skarbowej kolei Wiedeńskiej“.

Na ucztę pożegnalną zebrało się liczne grono inżynierów, rzemieślników i robotników kolei, którzy udziałem swym pragnęli oddać hołd zacnemu obywatelowi, sprawiedliwemu zwierzchnikowi i dzielnemu niezmordowanemu pracownikowi.

Poza szeregiem ulepszeń, wprowadzonych przez inż. Schoenfelda w urządzeniach technicznych wagonów, poza szeregiem ulepszeń w innych jeszcze urządzeniach drogi Warsz. Wied., b. naczelnik zaznaczył się również jako wysoce użyteczna jednostka społeczna, zakładając ochrony i szkoły w Pruszkowie, gdzie setki dzieci rzemieślników i robotników znajduje opiekę i otrzymuje wykształcenie.

Nadto inż. Schoenfeld niósł jeszcze pracę swą społeczeństwu jako przewodniczący w wydziale szkolnym Zboru ewangelickiego i prezes komisji szkolnej gimnazjum im. Mikołaja Reja.

Nastrój podczas uczty panował równie podniosły jak serdeczny, każda bowiem uczciwa jednostka społeczna poczuwa się do wdzięczności za dobrą pracę innych, składając w dani nietylko dowody hołdu i czci, lecz i serdeczne swe uczucia.

Zjazd kółek Staszicowskich.

W przeszłym tygodniu przez kilka dni odbywały się narady zjazdu kółek Staszicowskich. W sali muzeum i przemysłu zebrało się kilkuset chłopów polskich, by radzić nad własnymi sprawami.

„Kółka Staszicowskie“ mają zadanie wielkie do spełnienia. Dążą do stworzenia samodzielnego przemysłu rolnego, któryby postawił nasze drobne gospodarstwa do konkurencji z wytwórczością wielkich posiadłości. Przez kooperację drobna własność zdobywa taką możność do ekonomicznego współzawodnictwa, co przecież bardzo sprzyja do podniesienia ogólnych warunków bytu. „Kółka Staszicowskie“ stwarzają tani kredyt, a to w celu, by uwolnić chłopa od lichwiarskich procentów, które musi płacić, gdy jest w potrzebie. Przemysł mleczny, hodowla drobiu, wytwórczość ręczna (płótno, różne tkaniny wzorzyste) — wszystko to znajduje w założonych kółkach staszicowskich poparcie.

Z rozkoszą przysłuchiwano się tokowi poważnych, męskich rozpraw chłopskich. Mówili bowiem przez nich nietylko chłopi, ale szczerzy dobrzy obywatele kraju.

Ludowiec.



Zaślubiny artysty. Juljusz Osterwa z małżonką.

Zaślubiny artysty.

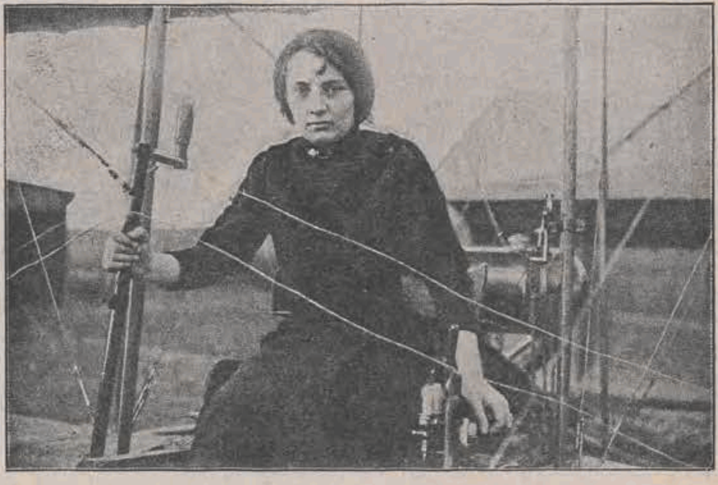
W ubiegłym tygodniu odbyły się zaślubiny p. Juljusza Osterwy, znanego artysty teatru Rozmaitości z p. Wandą Malinowską, artystką teatrów Młodziejowskiej w Wilnie i Solskiego w Krakowie.

Pan Osterwa rozpoczął swą karjerę w teatrze Gabryelskiego w Krakowie, potem występował tamże w teatrze Miejskim, a następnie w Wilnie w teatrze Młodziejowskiej. Wielkie powodzenie na tych scenach, otworzyło mu w końcu drogę na scenę warszawską, gdzie początkowo widzieliśmy go w farsie, a dziś oklaskujemy w teatrze Rozmaitości.

Życzymy młodej parze szczęścia nietylko w pożyciu domowem, lecz i na scenie.

Zamach na Wiktora Emanuela.

Gdy król włoski, Wiktor Emanuel II, jechał do kościoła Santa-Maria na nabożeństwo żałobne po ojcu, jakiś człowiek strzelił do niego z rewolweru. Król uszedł cało, natomiast towarzyszący pojazdowi major Lang został ciężko zraniony. Wszystko to wiemy z dzienników— ale



Panna **Bernard**, dzielna francuska awiatorka, wskutek wadliwego działania motoru w aeroplanie, spadła ze znacznej wysokości, zabijając się na miejscu.

Przypominamy, że czas już odnowić prenumeratę za kwartał II-gi.



Przewodnicząca sufrażystek angielskich ms. Laurance, udaje się ze swym sztabem i pakunkami do jednego z londyńskich więzień.



Ajent policyjny wskazuje szybę rozbitą przez sufrażystki. W ręku trzyma właśnie młotek owinięty w chustkę, który służył do rozbijania.

jeszcze kilka słów co do istoty zamachu:

Zamach, jak się okazało, był dziełem anarchisty Dalba, którego ujęto natychmiast. Pisma anarchistyczne zaprzeczają urzędownie o przynależności Dalby do ich stronnictwa. Jest to jednak zwykłe oświadczenie urzędowe, które po śledztwie może okazać się fałszywem. Wiadomo bowiem, że już od czasu rozpoczęcia wojny turecko-włoskiej anarchiści gorąco protestowali. Nawet radykalni socjaliści wypowiadali się w parlamencie, ostro krytykując tę kapitalistyczną aferę. I chociaż zapewniają niektórzy, że Dalba był wynajęty przez młodoturecki komitet, to jednak prawdopodobniej, że popchnął go do zamachu anarchizm, który przecież w Wło-



Wiktor Emanuel II-gi
król włoski, omal nie padł ofiarą zamachu anarchistycznego.

szech jest reprezentowany przez najtęższe teoretyczne głowy współczesne.

Przegląd polityczny.

W tych dniach wyszła w Paryżu książka petersburskiego korespondenta znanej francuskiej gazety „Figaro". Książka ta mówi o zagadnieniach polityki wewnętrznej rosyjskiej. Interesującym dla nas jest rozdział specjalnie poświęcony sprawie polskiej. Pan René Marchand (autor) jest admiratorem b. prezesa ministrów Stołypina. Opowiada o idealnych projektach premiera w stosunku do polaków i stara się wytłumaczyć wszystkie „nieszczęśliwe" pomysły jego rządów. Konkluzją jednak p. Marchanda jest oświadczenie, że polacy zaczęli dążyć więcej ku Austrji, niż ku Rosji, co w przyszłości może zaważyć niekorzystnie na szalach polityki rosyjskiej. Nawet ustawę z dnia 3 czerwca 1907 roku p. Marchand przypisuje, jako smutną konieczność państwową, która jednak dla Stołypina była przykrą. Ustawa ta, jak wiadomo, zmniejszyła o połowę mandaty polskie. Książka p. Marchand została napisaną napewno przez inspirację sfer zainteresowanych. Jako taką należy ją czytać, a wtedy dowiemy się w jaki sposób farbuje się lisy opinji zagranicznej o stosunkach naszych.

Strejki angielskie nie zakończyły się jeszcze. Wybuchły nowe zaburzenia strejkowe w Niemczech, które w parlamencie



Anarchja w Chinach. Dr. Wu-Ting-Jang, minister spraw zagranicznych w nowym rządzie republikańskim w Nankinie.

doprowadziły do ostrych starć. Nawet organizacje przedtem bierne, dziś solidarnie wystąpiły do walki z kapitałem. Polacy wzięli też udział w strejku.

Hakatyści gotują nam nową niespodziankę. Stronnictwo narodowo-liberalne projektuje postawić na porządek dzienny obrad sejmu pruskiego, kwestję „Kas dla stanu średniego". (Mittelstandkassen). Kasy te miałyby za zadanie regulować hypoteki miejskie, zwłaszcza w mniejszych miasteczkach W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska, z prawem „przedkupu" (Vorkaufsrecht) dla dającego pożyczkę, a więc dla kasy. Jest to jeszcze jeden z haczyków na które chcą prusacy wziąć społeczeństwo polskie, by tem łatwiej wywłaszczyć nas z posiadłości miejskiej.

W Chinach rozruchy trwają wciąż bez zmiany. Władze chińskie nie mogą się uporać z rozszalałymi żywiołami. A że przy każdej rewolucji wypełza na światło dzienne cała masa rabusiów, łotrzyków i hultajów, to nie dziw, tem więcej, iż tak trudno położyć kres wszystkim anarchistycznym zamieszkom. Ostatnie telegramy przynoszą wiadomość, że dr. Juanszikaj wyjeżdża do Europy z politycznemi misjami.

Finlandczycy złożyli petycję sejmowi Helsingforskiemu, domagającą się zupełnej autonomji wewnętrznej dla Finlandji. Pod

petycją widnieją podpisy partji szwedzkiej, młodofińskiej i agrarnej. Jakie będą wyniki tej petycji z góry chyba przewidzieć można.

Sufrażystki angielskie wybijają okna wystaw sklepowych w Londynie a nawet i w powozie Asquitha wybiły szyby, napadły na niego, urządziwszy piskliwo-wrzaskliwe manifestacje. Za to wszystko dotychczas zdobywają coraz więcej miejsc w... więzieniu poprawczem. Ich siostry w Austrji też walczą wytrwale o prawo wyborcze dla kobiet.

Nawet niedawno, bo 18-go marca odbył się w Wiedniu olbrzymi wiec, złożony z komitetów polskiego, niemieckiego i czeskiego i powziął uchwały energicznie dopominające się o prawa dla kobiet. Jeżeli w gruncie rzeczy można sympatyzować z ruchem odrodzeniowym liberalnym wśród kobiet, to jednak owe uliczne hece angielskie nie budzą nic, okrom niesmaku.

Sensacją dnia jest w ostatnich czasach dymisja Czarykowa. Podobno nastąpiła ona na skutek ultimatum austrjackiego, które wyraźnie żądało usunięcia Czarykowa z Konstantynopola. Ani przeczuwano, że byliśmy o mały włos od zatargu między Rosją a Austrją, który mógł skończyć się wojną.



Anarchja w Chinach. Dr. Juanszikaj, prezydent rzeczypospolitej chińskiej, obmyśla środki w celu przywrócenia porządku.

Podbój bieguna południowego.

Epokowe odkrycie Roalda Amundsena znów wiedzy ludzkiej wielkie przynosi zdobycze. Nie dlatego żeby przez opanowanie bieguna północnego odnaleźć sposoby zaludnienia go— jest to niewykonalne i zbyteczne wobec warunków klimatycznych, o to też kwapić się nikt nie będzie; lecz dla gieografji, fizyki, gieologji, meteorologji i wogóle nauki odkrycie to ma bezcenne znaczenie.

Amundsen, liczy obecnie dopiero 41 lat, już w r. 1897 i 1889 brał udział w ekspedycji do bieguna południowego, która, choć nie dotarła do bieguna — jednak bardzo daleko się posunęła. Nie jest więc Amundsen nowicjuszem w tych wyprawach.

W 1910 r. nabył Amundsen okręt „Fram," na którym Nansen odbywał wiekopomną podróż do bieguna północnego. Na tym to okręcie udał się śmiały podróżnik z towarzyszami w swą uciążliwą i niebezpieczną wyprawę.

Po długiej podróży dotarł wreszcie „Fram" do wielkiej barjery lodowej pod biegunem. Dalej okrętem nie sposób było płynąć, odtąd też rozpoczyna się wędrówka saniami, na nartach i—pieszo nawet, wędrówka połączona z wieloma trudnościami i niebezpieczeństwem życia.

A oto jak opowiada sam Amundsen o wyprawie od tej chwili w sprawozdaniu przesłanem telegraficznie do Chrystjanji:

Dopiero w połowie października, gdy psy morskie i ptaki znów się ukazały i temperatura ustaliła się między — 20 i 30^0, można było poważnie pomyśleć o wyruszeniu. Pierwszy plan w ten sposób został zmieniony tak, że tylko 5 ludzi udało się do bieguna południowego, zaś 3 na wschód, aby Ziemię króla Edwarda dokładniej zbadać, ponieważ ekspedycji Scott'a, pomimo jej zamierzeń ubiegłego lata, nie udało się tam dotrzeć.

D. 20 października wyruszyła partja Południowa z 5 ludźmi, 4 saniami, 25 psami i prowiantem na 4 miesiące. Początkowo sił oszczędzano; 23 października dotarli do składu przy 80 st. szerokości i 26 października poszli dalej na południe po prostej linji wśród gęstej mgły. W tych dniach wypoczynku psy pielęgnowano i karmiono obficie mięsem fok. Temperatura i teraz trzymała się jednako między 20 i 30 st. zimna. Zamiaru przebywania dziennie tylko 20 do 30 klm. zaniechano, ponieważ okazało się to za mało dla silnych i chętnie idących zwierząt. Począwszy od 80 st. szer., ustawiano na niedługich przerwach bloki śnieżne wysokości człowieka, jako drogowskazy.

D. 31 października dotarli do 81 st., 5 listopada do 82 st. szer.



Anarchja w Chinach. Zbuntowani żołnierze napadają w celach rabunku, nie oszczędzając nawet europejczyków.

i w obu miejscach utworzyli składy. Między 82 i 83 st. teren okazał się tak wspaniały, że jazda przy 50 klm. dziennie przebywanej drogi, prawdziwą była przyjemnością. W ten sposób 9-go listopada dotarli do kraju Południowej Wiktorji, który według mapy Shackleton'a, stanowi górzyste południowo-wschodnie przedłużenie lodowca Beardmore.

Tutaj to uczyniono pierwsze interesujące odkrycie. 11 listopada skonstatowano rozciągłość i cechy t. zw. barjery Rossa i odkryto połączenie między Południową Wiktorją a prawdopodobnie Krajem króla Edwarda i w dalszym ciągu jego w potężnym łańcuchu górskim, który według wszelkiego prawdopodobieństwa idzie wpoprzek przez cały ląd antarktyczny.

D. 13 listopada podróżnicy dotarli do 84°, a 16-go do 85° szer.; w obu tych miejscach urządzili składy; 17 listopada przy 85° szer. doszli do barjery, która wznosi się falisto na 300 stóp i tworzy większe skały. Tu ustanowiono skład główny z zapasami żywności na 60 dni i z prowiantami na dni 30 podróżni udali się dalej w drogę. Teren wydawał się nieprzebytym; były na nim wzgórza, dochodzące do 10,000 stóp wysokości, a w kierunku południowym i do 15,000 stóp.

Zaczęła się straszna droga. Potykano się o szczeliny i przepaście, lodowce wznosiły się tak pionowo, że niepodobna było używać nartów. I 8 psów nie wystarczyło teraz do jednych sani. Trzeba było do dwuch par sani użyć 35 psów, ażeby módz przebywać strome lodowce. Tego samego dnia wznieśli się na 2,000 stóp w górę. Nazajutrz przebyli znów kilka mniejszych lodowców i na wysokości 4,500 stóp rozłożyli się na noc obozem. Następnego dnia musieli zejść przez wielki lodowiec Axel-Heiberg, dzielący łańcuch gór nadbrzeżnych od łańcucha południowego.

Tu rozpoczyna się najdłuższa i najtrudniejsza część przeprawy. Nieustannie, bez przerwy trzeba było czynić długie obejścia szczelin lodowcowych, częściowo rozwartych, częściowo śniegiem pokrytych z czego wynika, że lodowce te oddawna są nieruchome. Tego dnia zanocowano na płaszczyźnie lodowcowej na wysokości 5,000 stóp, okolonej górami 15,000 stóp wysokiemi. Okolica ta była zupełnie nieznana; jedną z tych gór nazwano górą Fritjofa Nansena, drugą — Don Pedro Christoffersen (nazwisko norwegczyka, jednego z mecenasów ekspedycji), trzeci zaś lodowiec, 15,000 stóp wysoki, otrzymał nazwę Ole-Engelstad. Lodowce pełne były przepaści i szczelin i niesłychanie trudne do przebycia. Psy, które w ostatnich dniach pięły się na 700 klm., okulały, członki im sztywniały i były tak wyczerpane, że załoga zmuszona była 24 wiernych towarzyszy zabić i z 18 w dalszą udać się drogę.



Roald Amundsen
pierwszy dotarł do bieguna południowego.



Roald Amundsen
na biegunie południowym.

W przeciągu czterech dni podróżnicy znaleźli się na ciągnącem się bez końca lodowcowem płaskowzgórzu. Po krótkim odpoczynku wyruszyli na nowo 25 listopada, a 26-go spotkała ich szalona zawieja śnieżna. Śnieg walił tak silnie, że niepodobna było nic ujrzeć dokoła, jednakże mieli wrażenie, że przechodzi bokiem. Wyruszono nazajutrz w pochód wśród najokropniejszej burzy i zamieci. Twarze pomarzły, niepodobna było niczego dojrzeć. Dnia tego dotarli do 86° szer. i skonstatowali stopniowy spadek o 800 st. Tak samo i nazajutrz, kiedy w południe zaczęło się przez parę chwil wyjaśniać i w niedalekiej odległości można było rozpoznać potężny łańcuch gór. Po kilku chwilach jednak zawieja znów poczęła szaleć. D. 29 listopada pogoda polepszyła się, ukazało się słońce i ekspedycja przekonała się z radością, że droga prowadziła ku południowi przez wielki gleczer, a potężny łańcuch gór ciągnął się na wschód.

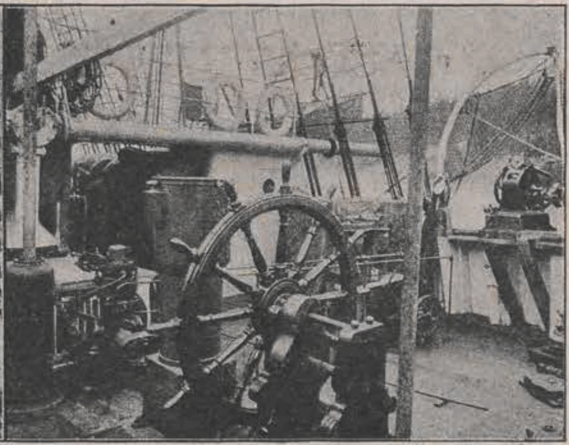
Ale radość trwała niedługo. Gdy przy 86 21' poł. szerokości i 8000 st. nad morzem, rozłożono się obozem na sześć dni, zaczęli 30 listopada wspinać się na niższe części zupełnie porysowanych lodowców. Była to *najniebezpieczniejsza* część pochodu, bo śnieżne pokłady okazały się tak cienkie, że załoga i psy niejednokrotnie się zapadały. Wieczorem otworzył się cudowny widok na potężne łańcuchy górskie na wschodzie, skąpane w jasnem słońcu. Szczególniej imponującą była 12,000 metr. wysoka góra Helmer-Hansen, której lodowiec jest tak pełny szczelin i rys, że niepodobna tam nogą stąpnąć. Od czasu do czasu widoczne były również 15,000 stóp wysokie szczyty łańcucha Nielsen, lecz

przeważnie wszystkie były mgłą zasnute. A mgła była tak gęsta, że z trudnością można było dojrzeć lodowiec, pełen strasznych szczelin; trzy dni trwało, zanim przeszli „Gleczer djabelski". Pochód ten był niesłychanie trudny. Nartów nie można było użyć, pożytecznemi okazały się specjalnie urządzone sanki lodowe. Dotarłszy do płaszczyzny, załoga teren ten nazwała „Taneczną drogą djabła", ponieważ stanowiła ona najniebezpieczniejszą część pochodu.

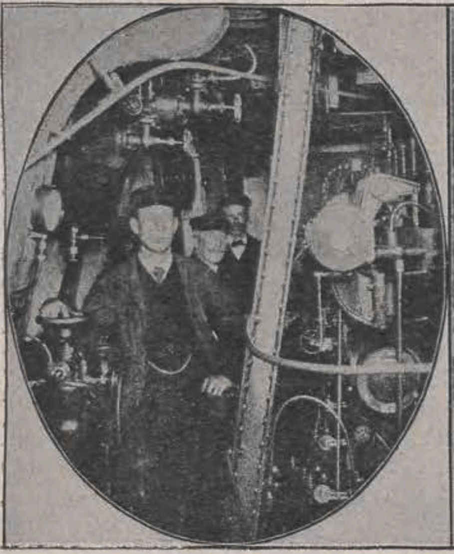
D. 2 grudnia uczestnicy doszli do 87^0 40' szer., do najwyższej wysokości, t. j. 10,250 stóp



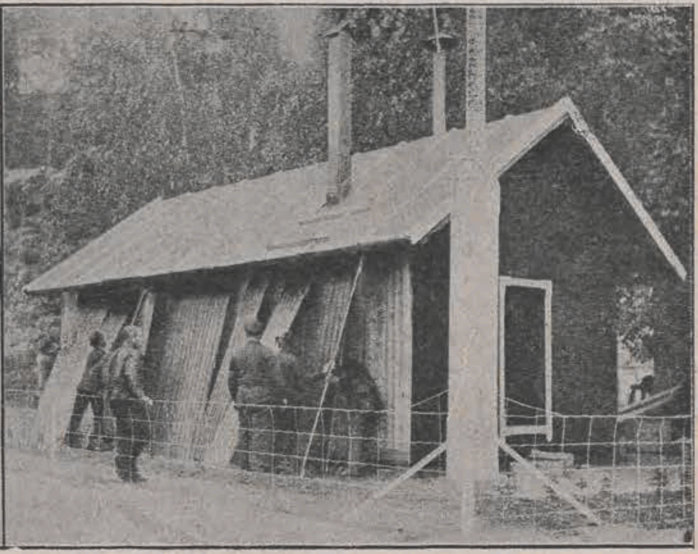
Załoga „Framu". (W 2-im rzędzie w środku Amundsen).



Pomost okrętu, który tak długo zimował pod biegunem.



Oddział maszynowy na „Framie".



Rozbierany dom przenośny, podbiegunowe mieszkanie Amundsena.



Wnętrze domu przenośnego. Z boków miejsca do spania.



„Fram", okręt wyprawy do bieguna południowego.

nad poziomem morza. D. 8-go grudnia pogoda polepszyła się i można było czynić obserwacje. Obliczenia wykazały, że znajdują się na 88° 16' szer. poł. Po południu przeszli przy 88° 23' punkt rekordu Shackletona i przy 88° 25' zanocowali i urządzili dziesiąty i ostatni skład. Przy 88° 5' płaskowzgórze przechylało się na drugą stronę; 9-go grudnia stanęli na 88° 56'; 10-go — na 89° 15', a 13-go — 89° 45'. Wszystkie wymiary i obserwacje zgadzały się, tak, że można uważać, iż 14-go grudnia podróżni stanęli u bieguna południowego.

Tego dnia, przy 23-stopniowym mrozie, dął lekki południowo-wschodni wiatr przy cudownej pogodzie i świetnym terenie do sanny. Bez szczegółniejszych wydarzeń dzień spędzili i o 3-ej po południu zatrzymali się. Wszyscy zgromadzili się dokoła flagi norweskiej, którą zabrali ze sobą i którą zatknęli na ogromnym obszarze, chrzcząc go mianem „Ziemi króla Hakona VII". Jest to olbrzymi, zupełnie płaski i równy teren, na wiele mil dokoła widoczny. W nocy i rano, przy jasnej pogodzie, dokonano szeregu pomiarów i obserwacji. Stwierdzili, że znajdują się na 89° 55' szer. poł. i że dla zbliżenia się do bieguna trzeba jeszcze posunąć się o 8 kilometrów.

Uczynili to 16 grudnia. Słońce jasno świeciło i służyło doskonale do obserwacji. Czterech uczestników czyniło w ciągu 24 godzin dziennych pomiary, których rezultat wykazał, że znajdują się tak blizko bieguna południowego, jak to się tylko da stwierdzić sektantami i sztucznymi horyzontami, 17-go grudnia zyskali już zupełną pewność, zbudowali domek i zatknęli chorągiew norweską i flagę „Frama". Ta „kolonia" nazwana została „Domem biegunowym". Odległość jego od kwatery zimowej wynosiła 1,400 klm., przebywali więc dziennie przeciętnie 25 klm.

17-go grudnia ruszyli do odwrotu, pogoda była niezwykle sprzyjająca; najniższa temperatura — 31, najwyższa — 5 Cels. 18 stycznia z 11 psami i dwoma saniami w doskonałym stanie zdrowia powrócili do kwatery zimowej, przebywając dziennie po 36 kilometrów.

BIURO i PRZEDSIĘBIORSTWO MELJORACJI ROLNYCH
Inżyniera T. SKORACZEWSKIEGO
WARSZAWA, ul. Mokotowska 59, tel. 252-86.
Filja: Śrem, W. Ks. Poznańskie.

Popierajcie przemysł krajowy Chromolin Hegnera, najlepsza najtańsza pasta do obuwia. Wyrób krajowy. Hegnerol najtańszy płyn do czyszczenia wszelkich metali. Wyrób krajowy. Żądać wszędzie.
Fabryka w Warszawie, Ordynacka.

„POMALIN"
najlepsza pasta do obuwia
STANISŁAWA FISZERA
Marszałkowska 63.
Żądać wszędzie.

LEKARZ DENTYSTA
Regina Wajnberg.
Nowy Świat 44,— telef. 140-84.

Kto dba o wartość Motoru Elektrycznego, niechaj się z każdą jego niedokładnością uda do Zakładu Elektrycznego
Maksyma Michalskiego
Warszawa Wilcza 13.
Tel. 253-88.

MEBLE
F. GRMELA
WARSZAWA
Marjensztadt 16, Telefon 218-04.

Helena SEIDENMANOWA
Lekarz-Dentystka, HOŻA 39, Telefon 140-80.

Dr. L. Płużański
Lek. szpit. św. Łazarza. Chor. skór. i wener. (stos. 606). Nowy-Świat 37, tel. 95-65. Od 1—3 i od 6—8 po poł.

Do niniejszego numeru dołączamy przekazy pocztowe, prosząc o łaskawe rozdanie lub przesłanie takowych znajomym. Za polecanie naszego pisma, najserdeczniej Sz. Czytelnikom dziękujemy. (Przekazy dołączone są do wszystkich egzemplarzy dla prenumeratorów z prowincji).

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie	rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15
Za granicą i za oceanem	„ „ „ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25
W Austrji i Galicji	„ „ „ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.

Numer pojedyńczy kop. 10 — halerzy 25. Zmiana adresu — 20 kop.

Prenumeratorowie przybywający od II-go kwartału otrzymują początki drukujących się powieści; opłacającym prenumeratę za I-szy kwartał, wysyła się komplety pisma. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU" w Warszawie Mazowiecka № 5, wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 kop. Reklamy—40 kop. Ogłoszenia na ostatnich kolumnach i na 3 str. okładki 20 kop. Na 4 str. okładki—30 kop.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17



TEODOR RYGIER „JULIETTA"

1-SZY DOD. ARTYST. „ZŁOTEGO ROGU". — ROK 1912.